

Centralna Szkoła Kawalerii i 2. Pułk Ułanów Grochowskich

Leon Kon

..Wojenny młyn wszystko zagarnął pomiędzy swoje tryby. Po tattersalu w Petersburgu pozostały tylko wspomnienia i trochę fotografii, a ja zostałem zawodowym porucznikiem kawalerii, czyli jak to się w carskiej Rosji nazywało - kornetem, przeszedłem służbę frontową i poprzez Kaukaz i Odessę powróciłem do Polski. W służbie kawaleryjskiej Wojska Polskiego znalazłem się w gronie oficerów 2. Pułku Ułanów Grochowskich, a wkrótce oddelegowano mnie na pierwszy powojenny dziewięciomiesięczny kurs dowódców szwadronów w Centralnej Szkole Kawalerii w Grudziądzu.

Z jeźdźców, którzy w Rosji zapoznali się z nowymi metodami jazdy, w polskiej kawalerii znalazło się niewielu i to rozproszonych po różnych jednostkach kawalerii. Płk. Sergiusz Zahorski wkrótce po wojnie 1920 r. był wydelegowany do Włoch dla przejścia kursu jazdy w Pinerolo. Dymitr Ekse działał jako cywilny instruktor jazdy w 1. p. uł. (później, około 1927 r. był przyjęty do wojska w stopniu majora), mjr Karol Römmel w 8. p. uł. i ja w 2. p. uł.



Przeszkalanie oficerów było konieczne, gdyż niezdemobilizowane kadry składały się z przedstawicieli trzech zaborów, nie licząc czwartego - legionowego, jak mawiano żartem.

Centralna Szkoła Kawalerii, przemianowana później na Centrum Wyszkożenia Kawalerii, na samym początku swojego istnienia była tworem dość dziwnym. W szkoleniu ogólnowojskowym wykładowcami byli oficerowie francuscy i każdy z nich miał przydzielonego tłumacza. Jazda konna uważana za przedmiot najgłówniejszy, znalazła się całkowicie w rękach byłych oficerów austriackich. Nie istniały jeszcze wtedy polskie regulaminy jazdy, więc szkolono tak, jak to było za czasów Franciszka Józefa. Na to z aprobatą i głębokim przekonaniem, że inaczej być nie może, patrzył pierwszy komendant CSK płk. Stefan Castenedolo-Kasprzycki, stary kawalerzysta i oficer dyplomowany CK armii austriackiej, późniejszy generał, a ogólnie nazywany w Szkole „Alsopotemu”, gdyż był to wyraz najczęściej przez niego używany i prawdopodobnie uważany za rdzennie polski.

Po jednym z ćwiczeń taktycznych omawiano na małym wzgórzu przebieg ćwiczenia. Oficerowie-frekwentanci, ustawieni w kółko, słuchali wykładu. Obecny był przy tym płk. Kasprzycki. Jeden ze słuchaczy zapalił papierosa. Pułkownik srogo na niego spojrzął i zapytał: „Also potemu kto panu pozwolił zapalić?” Speszony uwagą, usprawiedliwiając swoje wykroczenie przeciw dyscyplinie winowajca wybełkotał: „Myślałem, że na świeżym powietrzu wolno zapalić”. Na to zirytowany pułkownik: „Tam gdzie ja jestem nie ma świeżego powietrza”.

I

Coś w rodzaju pomieszania języków, jak przy budowie wieży Babel, było w CSK w Grudziądzu. Dominującym punktem w okolicy koszar było wzniesienie, a na nim wieża ciśnień. Przy ćwiczeniach terenowych był to ulubiony punkt orientacyjny. Oficerowie ze Wschodu nazywali ją z rosyjską wodokaczką, oficerowie z Zachodu mówili o niej wasserturm, a jakiś dowcipniś pogodził obie nazwy i powstała neutralna „wasserkaczka”, która przetrwała długie lata i wszyscy rozumieli jej znaczenie.

Dyrektorem nauk nadającym kierunek naukom teoretycznym, a mówiąc ściślej wprowadzającym francuską doktrynę wojskową, był płk. dypl. Gąsowski, stary oficer francuski, który dopiero co włożył na siebie mundur polski. Mówił po polsku bardzo słabo. Gdy służbowo porozumiewał się z Komendantem Szkoły nie wypadało mu używać innego języka niż polski, jak i tamtemu również. Były to dla nich obu ciężkie chwile, a dla przysłuchujących się takim rozmowom - nie byle jaka rozrywka.

Trzecią osobą na świeczniku Komendy Szkoły był szef ekwitacji, czyli instruktor nad instruktorami jazdy konnej, płk Franciszek Adamowich, kawalerzysta austriacki. Kroat z pochodzenia, stary kawaler, znany jeździec terenowy, dawny dowódca szwadronu przybocznego cesarza Franciszka Józefa i jednocześnie nadworny oficer do towarzystwa. zawsze wesoły i niczego nie traktujący poważnie. Jemu przypisywano wynalezienie trzech wyrazów polskich, rozpoczynających się na „sz”. A było to tak. Któregoś poranka płk Adamowich telefonuje do generała Kasprzyckiego: „Sztefan, szluchaj, szpekcion przyjechał”.

Szef ekwitacji nie entuzjazmował się sposobami nauczania jazdy konnej przez swoich kolegów, ale i nie przeciwstawiał się im, gdyż nie miał niczego skryształizowanego, czym mógłby zastąpić ówczesny stan rzeczy.

A wyglądał on tak. Luzacy wprowadzali na ujeżdżalnię zastęp koni osiodłanych, ale z odjętymi strzemionami. Powiedziałem „osiodłanych”, ale historycznie nie jest to dokładne. W języku naszych instruktorów były to „pryczki”, a w naszym - zwykle siodła angielskie. To ostatnie określenie zwyciężyło, pryczka zginęła śmiercią naturalną i pamięć o niej nie pozostała. Oficerowie frekwentanci dosiadali koni po komendzie instruktora „na koń’.”. Zastęp ruszał stępem, a na komendę „klusem - marsz!” jechał klusem L. tak bez przerwy całą godzinę. Przez 6 miesięcy. Gdy zarządzono jazdę ze strzemionami, okazało się, że trzeba niemal uczyć się na nowo. Niedługo jeździliśmy ze strzemionami. Wkrótce znowu je odjęto dla poprawienia dosiady, który w mniemaniu naszych instruktorów zaczął się psuć. Później zauważyłem, że nawet starzy i znani instruktorzy, pochodzący z wiedeńskiego Reitlehrer Institut, od czasu do czasu jeździli bez strzemion właśnie dla poprawienia sobie dosiady.

Cieszyłem się, gdy zostałem odkomenderowany na kurs, gdyż liczyłem, że się czegoś nauczę. Ani pary z ust nie puściłem, że sam jestem instruktorem z wieloletnią praktyką i że mam za sobą tyle koni ujeżdżonych maneżowo, bądź według metody nowoczesnej. Ćwiczyłem bez szemrania, ale nie przeszkadzało mi to w analizowaniu tego, co się wokół mnie działo. Po ukończeniu kursu wróciłem do pułku w Suwałkach i tu napisałem obszerny artykuł sceptycznie omawiający sposoby szkolenia w jeździe konnej w CSKaw i podpisany nazwiskiem posłałem do miesięcznika wojskowego „Bellona”.

Zanim artykuł ukazał się w druku, CSKaw złożyła do Departamentu Kawalerii MSWojsk. wniosek o przydzielenie mnie tam jako instruktora. Departament wniosek zatwierdził, a tu masz - „Bellona”. Awantura. W szkole zawrzało. Do Departamentu poleciała depesza z podpisem płka Kasprzyckiego: „Rezygnuję z przydzielenia do CSKaw por. Kona”. Był to koniec roku 1921.

Pozostałem w pułku na stanowisku dowódcy pułkowej szkoły podoficerskiej.

Dowódca brygady, płk (później generał brygady) Eugeniusz Śląski, oficer starej generacji z rosyjskiej kawalerii, wychowanek Petersburskiej Oficerskiej Szkoły Kawaleryjskiej. a więc z przekonania fillisista, lecz nieco zliberalizowany, bo w swoim czasie jeździł na steeplach, przyjął mnie po powrocie z Grudziądza bardzo przychylnie, widząc we mnie jeźdźca pochodzącego z Petersburga, a więc z tego samego kierunku co on sam. Płk Śląski lubił opowiadać o swoich wyczynach wyścigowych. Opowiadania te zawsze zaczynały się od zdania: „jadę ja na steepeleCHASE, a obok mnie adiutant Kulebiakin na pół krówce...” Półkrówka, w określeniu pułkownika, to był koń pół krwi.

Konikiem płk. Śląskiego były rajdy długodystansowe w większych zgrupowaniach. Rajdowała na rozkaz cała brygada na zasadach konkurencji sportowej. Pierwsze takie współzawodnictwo odbyło się

między plutonami poszczególnych pułków brygady w lutym 1922 r. Obowiązywały z góry wyznaczone etapy, oddalone jeden od drugiego na odległość 60-80 km, postoje w ograniczonym czasie. Konie szły pod pełnym obciążeniem, a ludzie w pełnym uzbrojeniu. Trasa prowadziła z Augustowa przez Suwałki, Grodno, Wołkowysk, Kuźnicę do Augustowa.

Przemarsze były tak rozłożone, że tylko dwa odbyły się we dnie, a reszta nocami. Było to dużym utrudnieniem. W dodatku był to okres odwilży we dnie i mrozów po nocach.

Przy każdym plutonie jechał oficer z innego pułku, którego zadaniem było odnotowanie wszelkich uchybień w stosunku do regulaminu, jak np. nieprzestrzeganie zwartości oddziału, zmylenie trasy, gubienie części uzbrojenia lub rynsztunku, co pociągało za sobą punkty karne.

Ja byłem wyznaczony do kontrolowania plutonu 3. p. szwol. Podczas nocnego przemarszu przez puszcę Giby droga leśna prowadziła tuż obok granicy. W pewnym miejscu dowódca plutonu wyraźnie zmylił drogę i prowadził nas wprost do Litwy, z którą wówczas nie łączyły nas najlepsze stosunki. Uprzedzać konkurenta o mylnie obranym kierunku nie mogłem, ale na szczęście zauważono wiechcie graniczne i zawrócono do Polski.



Cours Hippique International Militaire
De Nice 1926

Cała granica polsko-litewska była wtedy wytyczona żerdziami z umieszczonymi u góry wiechciami słomy. Taki to był pograniczny prymityw.

W tym rajdzie dopiero poznałem zmęczenie i jakie mogą być jego skutki. Pod czas następnego nocnego przemarszu pomiędzy Grodnem a Wołkowyskiem niebo było zachmurzone, a ciemność panowała niesamowita. Mróz tężał, a w. butach chlupała woda.

Nagle widzę jakiś ogromny budynek, przypominający Warszawską Operę, rzeświście oświetlony elektrycznością. Przetarłem oczy, ale znowu widzę ten sam gmach. Wreszcie fatamorgana znikła. Po pewnym czasie zobaczyłem fragment jasno oświetlonej sceny z uniesioną do połowy kurtyną. W szeregach niektórzy jeźdźcy widzieli wioski lub jakieś osiedla w pełnym blasku słonecznym. A przecież byliśmy wszyscy młodzi, wytrenowani w pełni sił i przy zdrowych zmysłach.

Drugi rajd odbył się w maju. Tym razem pułki wystawiły po pół szwadronu, a ja zostałem dowódcą z ramienia 2. p. uł. Kontrolnym oficerem przy mnie był mój dobry kolega z 1. p. uł. por. de Rosset, popularnie zwany Bebusiem. Bebuś był mało wytrenowany i na ostatnich etapach rajdu trzymał się siłą woli i ambicją, a w dodatku skarżył się na bolesne otarcia.

W trakcie ostatniego przemarszu, pomiędzy Grodnem a Suwałkami, Bebuś podjeżdża do mnie i bardzo oficjalnie komunikuje, że w moim półszwadronie został w Grodnie zamieniony jeden z kom. Omal nie zdębiałem. Gdyby taki fakt zaistniał, pociągnęłoby to nie tylko za sobą karę wielu punktów za ubytek konia, ale byłoby wierutnym oszustwem. Ponieważ przed rajdem wszystkie uczestniczące konie były spisane według numerów wypalonych na kopycie, zaproponowałem Bebusiowi, żeby niezwłocznie po przybyciu do Suwałk, jeszcze przed wprowadzeniem koni do stajni, sprawdził numer każdego. Numery okazały się w porządku, ale Bebuś nadal upierał się, że zamiana miała miejsce.

To samo twierdził on i w dniu następnym podczas przeglądu półszwadronów, który odbywał się w obecności inspektora armii gen. Rydza-Śmigłego. Gdy generał, chcąc wyjaśnić sprawę, polecił Bebusiowi, żeby wskazał, którego konia zamieniono, ten dokonać tego nie mógł, ale z uporem maniaka

upierał się nadal przy swoim oskarżeniu.

Sytuacja stała się nader przykra. Na zebraniu oficerów naszego pułku uznano zarzut Bebusia za uwłaczający mojemu honorowi, a przez to godzący i w honor pułku i postanowiono, iż mam zażądać satysfakcji przez wysłanie do niego moich sekundantów. Niezwłocznie poprosiłem do tej roli mjra Bylińskiego i rtm. Gierulewicza. Sekundanci obu stron obrali na miejsce spotkania jedną z polan w lasach pomiędzy Suwałkami a Augustowem, gdzie stacjonował 1. Pułk Ułanów Krechowieckich. Warunki pojedynku: jednorazowa wymiana strzałów z pistoletów pojedynkowych.

W owych czasach pojedynków nie brakło, więc pojedynkowe pistolety moi sekundanci bez trudu wypożyczyli w Warszawskiej Spółce Myśliwskiej. Komplet specjalnych pistoletów był tam zawsze w pogotowiu.

Największą trudnością do pokonania było zachowanie wszystkiego w tajemnicy u mnie w domu. W warunkach ustabilizowanego życia rodzinnego nie było to zadaniem łatwym.

Na miejsce zbiórki przyjechaliśmy punktualnie. To samo i strona przeciwna. Po wylosowaniu pistoletów, wypróbowaniu spustów, ja i Bebuś stanęliśmy przy metach, oznaczonych wetkniętymi w ziemię szablami. Wszystko odbywało się spokojnie i prawie uroczyście. Tylko lekarz z 1. p. uł. obrał sobie w pobliżu od nas jakiś krzaczek i szybkimi krokami, zdradzającymi zdenerwowanie, chodził dookoła niego jak koń na lonży.

Po wymianie strzałów, z których żaden nie wyrządził nikomu krzywdy, rotmistrz Sędzimir z 1. p. uł., jako prowadzący pojedynek, oznajmił głośno, iż honorowi stało się zadość. Tak wyglądało honorowe załatwienie sprawy w owe czasy. A dziś? Jakbym już widział pobłażliwie uśmiechy na twarzach czytających te słowa, jakbym słyszał: jakież to był anachronizm i średniowiecze.

Dopiero po latach żona dowiedziała się, jak to w tym dniu było naprawdę. Bebuś zaś wyszedł z wojska, studiował malarstwo w Paryżu i tam zginął tragicznie z własnej ręki.

Muszę jeszcze wyjaśnić jak w rzeczywistości było z tą zamianą konia. Jako oficer kontrolujący jechał por. Tałanow i jako taki miał prawo dowolnie zmieniać w razie potrzeby swoje konie. Z Suwałk do Grodna z pułku przysłano dla por. Tałanowa świeżego konia. Luzak Bebusia dowiedział się o tym, zameldował swojemu porucznikowi, a ten, nie próbując sprawdzić, w zdenerwowaniu z powodu przemęczenia i katuszy, których doznawał od otarc, nie mógł sobie wyobrazić jakiejś innej zamiany, jak tylko konia ułańskiego. Sam w to święcie uwierzył i przy tym mniemaniu pozostał z uporem. A później może i ambicja nie pozwalała mu na odwołanie swojego stwierdzenia.

Tak to bywa na świecie, że z niczego powstaje wielki rwetes.

W pierwszym numerze „Konia Polskiego”, jedynym wydanym w 1965 r. znajduje się duży artykuł majora Leona Kona pt. „Nielatwy był start jeździectwa po wojnie”. Nazwisko autora zostało obwiedzione czarnymi ramkami, gdyż w chwili wydania numeru major już nie żył. A teraz rozpoczynamy druk jego wspomnień. Będą tylko cztery odcinki, gdyż dalsze nie zostały napisane. We wstępie do wspomnianego artykułu napisane jest: „Życie jego było silnie związane z polskim jeździectwem i bez żadnej przesady powiedzieć można, że wiele chwalebnych kart tego sportu zostało zapisanych jego ręką. Niech świadczą o tym rozsiani po całym świecie jeźdźcy, którzy pod jego okiem zdobywali laury na hipodromach świata, aby potem dzięki nabytym walorom charakteru tak dzielnie stawiać czoła najeźdźcy”.

Teraz pismo nasze będzie obchodziło już 25-lecie istnienia, a wspomnienia majora Kona dla wielu będą odbiciem czasów, kiedy się z nim stykali.